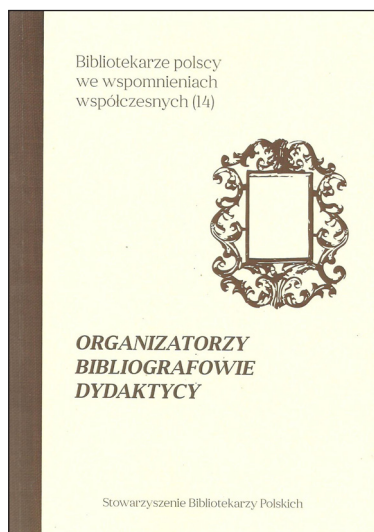


## JACEK WOJCIECHOWSKI

*Organizatorzy. Bibliografowie. Dydaktycy*,  
red. Elżbieta Dudzińska, Warszawa: Wydawnictwo  
SBP 2015, s. 252 („Bibliotekarze polscy  
we wspomnieniach współczesnych”, t. 14)



Oto już czternasty tom z serii poświęconej pamięci zmarłych bibliotekarzy i bibliotekoznawców, którą inicjatorzy oraz autorzy realizują za „dziękuję”, a SBP zgadza się ponosić koszty edycji. Główny wysiłek obciąża redakcję serii, której lideruje **Janina Jagielska** i trzeba za to wyrazić uznanie oraz szacunek. Wprawdzie to już nie te czasy, kiedy pisemne relacje utożsamiano z bezterminowym utrwaleniem treści, zatem i pamięci, ale na jakiś czas jednak przedłuża się w ten sposób wspomnienie tych, których już pomiędzy nami nie ma. Więcej uczynić nie można.

Niekomercyjny charakter przedsięwzięcia nie przeszkadza, żeby tego i owego w następnych tomach nie udało się ulepszyć. Myślę, że przyjęty układ prezentacji, alfabetyczny – według nazwisk osób, nie jest najszcześniejszy. Lepsza wydaje się segmentacja według kategorii bibliotek lub instytucji, w których te osoby pracowały, bo w ten sposób silniej zespoliłaby się treść całości.

Przydałyby się również indeksy **wszystkich** nazwisk w tomie oraz zasygnalizowanych instytucji, jakkolwiek mam świadomość, że to jest zadanie wysoce pracochłonne. Jednak w rezultacie wariantywne sposoby korzystania uległyby pomnożeniu. No i w miarę możliwości warto – przynajmniej przy niektórych sylwetkach – dodać w wyborze minibibliografię **podmiotową** (bo przedmiotowa jest), wymieniając dwie, trzy najważniejsze publikacje **autorstwa** wspominanych osób, bo to jest znacząca ilustracja dokonań, a kto wie, czy nie ostatnia.

Prezentacje są realizowane w konwencji pozytywnej, w myśl zasady, że o zmarłych pisze się dobrze lub wcale. To słuszne: warto wszak zapamiętywać jedynie to, co wartościowe i dobre. Natomiast mocno spersonalizowana tonacja wypowiedzi okazała się w kilku wypadkach zawodna. Pisząc mianowicie o zmarłych a zaprzyjaźnionych osobach, niektóre autorki zapędziły się nadmiernie w prezentowanie siebie i główne „przedmioty” referencji uległy przymgleniu. To bezdyskusyjnie należało w procesie redakcyjnym skorygować.

Omawianie takiej książki nie może być standardową recenzją. Chciałbym więc do tego, co napisano, dorzucić tylko kilka opinii od siebie, lecz wobec tego jedynie o tych osobach, które znałem osobiście. To jest bowiem trochę tak jak na cmentarzu, gdzie wśród wielu grobów dostrzega się przede wszystkim nagrobki rozpoznawalne: ślady minionych kontaktów. Które w ten sposób, przynajmniej na chwilę, dają się w pamięci odnowić.

Oto więc **prof. zw. dr hab. Marcin Drzewiecki**, absolwent, a potem wieloletni dyrektor Instytutu Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych UW, okresowo również prodziekan tamtejszego Wydziału Historycznego, człowiek świetnie zorganizowany, z ewidentnie wrodzonym talentem zarządczym. Przejął ten instytut w dobrej kondycji, a pozostawił w stanie bardzo dobrym, skupiając tam wielu znakomitych specjalistów. Umiał zachowywać konieczny dystans do zdarzeń (miał też bardzo specyficzne poczucie humoru) oraz wyjątkowo trafnie oceniał ludzi i bezbłędnie odróżniał prawdziwe wartości od pozorowanych – co w dzisiejszej pogoni za pseudonaukową punktacją parametryczną zdarza się rzadziej niż rzadko.

Za sprawą niebywałego potencjału energii doskonale dawał sobie radę z różnymi przedsięwzięciami. Także z równoległym kierowaniem CUKB, gdzie kwalifikowała się znaczna część naszych bibliotekarzy praktyków. Zrobił z tego Centrum ośrodek sprawny i wysoce użyteczny. Likwidacja – na co nie miał żadnego wpływu – to było jedno z największych świństw, jakie resort kultury sprokurował polskiemu bibliotekarstwu. Drzewiecki przejął potem jeszcze kierownictwo Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej.

Pierwsze u nas nowoczesne kompendium **praktycznej** wiedzy o bibliotekarstwie szkolnym stworzyła Jadwiga Andrzejewska. Natomiast Marcin Drzewiecki wiedzę o tym bibliotekarstwie – a także o pedagogicznym – wywindował na wysoki poziom **naukowy**. I tak już zostało, znalazły się bowiem godne kontynuatorki. Miał też ogromny wpływ na unaukowanie części edycji Wydawnictwa SBP (pełnił tam różne funkcje) i to również nadal procentuje.

Odszedł nagle, w pełni sił fizycznych, intelektualnych i twórczych, nie finalizując różnych swoich planów. To był dla wielu niebywały szok, po którym trudno było się pozbierać. Minęły już cztery lata, a jednak tę jego nieobecność nadal daje się dotkliwie odczuć.

Marcina Drzewieckiego do zawodu i do kariery naukowej wprowadziła **dr Aleksandra Niemczykowa** i trudno o lepszą mentorkę, bo to była osoba o wyjątkowo rozległej, a przy tym głębokiej wiedzy, jednocześnie zaś bardzo wymagająca. Z jej opracowań tacy jak ja, a później Drzewiecki, uczyli się podstaw bibliologii i, szczerze mówiąc, nie uświadamiam sobie lepszych materiałów wdrożeniowych. Bo też, poza teoretycznym rozeznaniem, miała również doświadczenie praktyczne z pracy w bibliotece, a to w tej dyscyplinie jest bezcenne. Dlatego każdą z jej licznych publikacji czytało się z zainteresowaniem oraz z wymiernym pożytkiem.

Była córką Stanisława Cata-Mackiewicza, ale o tym wiedział wtedy mało kto, no bo takie były czasy. Natomiast dla każdego, kto kilka dekad temu liczył się w tym **zawodzie**, uchodziła za niekwestionowany autorytet.

Tak jak i **dr Maria Mateufflowa**, jedna z głównych współtwórczyń polskiej bibliotecznej służby informacyjnej po wojnie – w wymiarze nie tylko Biblioteki Narodowej. Później zasługi w tym zakresie (niekiedy słusznie, a czasami nie) przypisywano różnym innym osobom. Ale dla praktyków, zmagających się wtedy z oporną materią informacyjnej obsługi publiczności, w warunkach wszak prymitywnych, to właśnie Pani Maria była najważniejszą instancją doradczą.

Poza tym imponowała klasą (dawniej mówiło się: „sznytem”). Podczas jakiejś konferencji – mobilnych telefonów nie było – wtargnęła na salę osobnik, wywołując ją do telefonu. Jednak, nieszczęsny, mordował się z jej zapisanym nazwiskiem tak potwornie, że cała sala pękała ze śmiechu. Z wyjątkiem samej Pani Marii. Wstając, spojrziała na mnie z przyszaną: nieładnie.

Oczywiście. Takich nazwisk rzeczywiście nie odczytuje się łatwo. Natomiast zapamiętać trzeba.

Pomimo braku zakresowej struktury można w tej książce wyodrębnić rozległy obszar bibliotekarstwa publicznego. A w nim oto **Jan Burakowski**, wicedyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie, potem dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sierpcu, ale wcześniej kierownik Działu Instrukcyjno-Metodycznego WiMBP. W latach 60. grupa takich kierowników stanowiła elitę ówczesnego bibliotekarstwa publicznego właśnie.

Był człowiekiem małomównym, a jeżeli już zabrał głos, to wypowiedź zawsze była kompetentna. Wiedział oraz umiał dużo, chętnie trzymał się

własnych opinii, ale na cudze argumenty reagował dobrze. Pozostawił po sobie mnóstwo publikacji, także książkowych – co spisano w wydanej nie tak dawno bibliografii<sup>1</sup>.

Jako jeden z pierwszych zorientował się (za sprawą autopsji), że wprowadzony po 1990 roku system samorządowy to coś zupełnie innego niż poprzednia formuła administracji terenowej. Co to zaś oznaczało dla bibliotek, wyłożył w bardzo interesującej książce<sup>2</sup>.

Wśród podobnych sobie wyróżniał się dogłębną znajomością literatury pięknej, chociaż własnych ambicji prozatorskich długo nie ujawniał. Przeszkadzała mu w tym solidność. Nie potrafił bowiem początkowo podzielić swojego czasu na pracę i publikacje zawodowe oraz na pisarstwo literackie. Udało mu się to dopiero później: wydał kilkanaście książek, w tym także literackich.

Myślę, że trochę za późno. To jest proza warsztatowo poprawna, interesująca, lecz jednak nieco już „staromodna”: dzisiaj pisze się inaczej. Tak więc nie zdążył na czas. Zapłacił frycowe przez profesjonalne potraktowanie powinności **zawodowych**. Jednak w pamięci zachował się jako postać absolutnie nietuzinkowa.

Z tej samej grupy kierowników działów i-m wywodził się **Mieczysław Faber** z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu. Człowiek o zupełnie innej konstrukcji fizycznej oraz psychicznej, bo drobnej postury i ekstrawertywny, nieodmiennie sympatyczny, natomiast w dyskusjach stanowczy: nigdy nie dał sobie wciskać kitu. Pochodził spod Wadowic, ale w bibliotece opolskiej – zresztą bardzo dobrej – czuł się zdecydowanie u siebie.

Zawodowe specjalizacje były wówczas jeszcze w powijkach, więc tacy jak on musieli świetnie znać się na wszystkim, co w tym zawodzie istotne, ale niebywale rozległą uniwersalizacją umiejętności Mietek przelicytowałby każdego. Kiedy zatem, po kilku latach, znużyło go szwendanie się po bibliotekach (bo to taka była praca) – zwłaszcza że nie był tęgiego zdrowia – z łatwością i wyjątkowo skutecznie przejął kierownictwo Działu Informacji w tejże bibliotece. I to od niego zaczęło się wydawanie regionalnej bibliografii<sup>3</sup>, a był też jednym w pierwszych współredaktorów czasopiśma „Pomagamy sobie w pracy” (obecnie „Bibliotekarz Opolski”). Jedno

<sup>1</sup> M. Staniszewska, *Jan Burakowski: bibliotekarz, publicysta, literat. Monografia bibliograficzna*, Sierpc: Miejska Biblioteka Publiczna w Sierpcu 2014.

<sup>2</sup> J. Burakowski, *Samorządowa biblioteka publiczna*, Warszawa: Wydawnictwo SBP 1994.

<sup>3</sup> *Bibliografia województwa opolskiego [od 1981]*, Opole: Wojewódzka Biblioteka Publiczna [od 1983].

i drugie ukazuje się nadal, tyle że w wersji elektronicznej. No i właśnie na tym to wszystko polega: zrobić w sposób kreatywny maksymalnie dużo z tego, co wykonać można, i żeby to potem było kontynuowane.

Z tego samego grona kierowników działów i-m wywodził się **Juliusz Bernard** z sąsiedniej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu, potem jej wieloletni wicedyrektor. Rzeczowy, rozważny i wstrzemięźliwy, również wszechstronny profesjonalista; trochę przypominał Burakowskiego. Bardzo sprawny organizacyjnie, zajmował się głównie siecią bibliotek w województwie i wszyscy, którzy się na tym znali, oceniali wtedy tę sieć wysoko.

Bernard sporo pisał, natomiast mówił znacznie mniej, jednak wynikało to nie z usposobienia, lecz ze szczególnych okoliczności. Był mianowicie absolwentem KUL-u, a takich wtedy mocno sekowano i wprawdzie chętniej zatrudniano na Ziemiach Zachodnich niż w Polsce centralnej, ale bliższej „obserwacji” nie uniknęli, toteż w wypowiedziach byli wstrzemięźliwi. To z niego emanowało: takie skrywane poczucie niesprawiedliwości, ale swoją pracę – którą ewidentnie lubił – wykonywał perfekcyjnie.

Z kolei wśród dawnych dyrektorów publicznych bibliotek wojewódzkich bezwzględnie osobną postacią był **Adam Zwoliński**, dyrektor WBP w Warszawie (tej biblioteki nie ma już od 40 lat), a wcześniej – biblioteki w Sierpcu, tej samej, którą potem kierował Burakowski. Świat jest mały! Zwoliński to miał do siebie, że nawet jak siedział obok, to tak jakby go nie było. Wolał słuchać niż mówić, wypowiadał się rzadko, zresztą zawsze kompetentnie, bo też praktykiem był doświadczonym, ale wyraźnie lepiej czuł się w „trzecim rzędzie” aniżeli w „pierwszym”. A jednak przez blisko ćwierć wieku kierował największym zespołem bibliotek w Polsce (i chyba w Europie), konstruktywnie pracując zwłaszcza na rzecz **prawdziwego** zacieśnienia relacji bibliotek z publicznością. Wtedy dużo o tym gadano, ale wodolejstwo szło w zawody z pozorantwem i rzeczywiście środowiskowy charakter bibliotek publicznych – tak jak to Zwoliński rozumiał – zaczął się generować szerzej dopiero po latach.

Reforma administracji w 1975 roku spowodowała, że warszawska WBP – tak jak kilka innych – poszła pod nóż. Nazywano to inkorporacją, scalaniem oraz reorganizacją, ale to lipa: słowami można zakamuflować wszystko. Diabli wzięli osobisty i zespołowy dorobek wielu lat, relacje emocjonalne powędrowały na śmietnik i kilku nas takich dyrektorów jak Zwoliński znalazło się, razem ze współpracownikami, na lodzie.

To był czas trudnej próby. Wypięli się wszyscy naokoło, znajomi i mniej znajomi odwracali wzrok, telefony pogłuchły: trzeba było na własną rękę wspomagać tych, w których wcześniej „orało się” latami. Później



zdarzało się słyszeć o Adamie Zwolińskim sporo ciepłych słów. To znaczy, że dobrze zdał wtedy ten swój dramatyczny egzamin.

Do młodszej generacji należał **Stanisław Turek**, od 1990 roku dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, uprzednio wydawca i także aktywista Solidarności, za co przez jakiś czas zbierał cięgi. Na szereg lat przed nim kierował tą biblioteką Stanisław Piziak, wielki entuzjasta, czyniąc dla bibliotek w całym regionie wiele dobrego, lecz po jego śmierci nastąpiło zarządzanie o wiele mniej efektywne. Otóż Turek – człowiek mądry, rzetelny i bystry (z wielce osobliwym poczuciem humoru) – odtworzył dawniejszą atmosferę i naładował bibliotekę świeżą energią. Przypuszczam, że to za sprawą jego zręczności nie rozdzielono rzeszowskiej WiMBP na dwie odrębne biblioteki, a taki niedorzeczny pomysł przyjął się w wielu innych województwach.

On również najwyraźniej lubił to, co robił, i wykonywał tę pracę wyjątkowo sumiennie. Zdarzyło się tak, że po korekcie granic administracyjnych jedna z gmin – więc i biblioteka gminna – „przeszła” z województwa podkarpackiego do małopolskiego. Turkowi chciało się w związku z tym jechać olbrzymi szmat drogi, żeby dokonać symbolicznego przekazania, mimo że miejscowy wójt i jego bibliotekarka potraktowali nas jak powietrze. Ale to był gest wewnątrz zawodowy, a nie dla tamtych pajaców. Niedługo potem zabrała go nieuleczalna choroba.

Każde nieodwracalne odejście wywołuje smutek, ale kiedy widzę klepsydry byłych studentów, dla których coś na zajęciach referowałem, żal jest zwielokrotniony, bo to tak, jakby umarł ktoś z bliskiej rodziny. **Anna Sokołowska-Gogut** ukończyła na UJ zaoczne studia bibliotekoznawcze, a potem podjęła pracę w krakowskiej Bibliotece Akademii Ekonomicznej (obecnie: Uniwersytet Ekonomiczny), gdzie następnie przez 17 lat była dyrektorem. I to jakim!

Przenicowała tę bibliotekę od podstaw, zreorganizowała struktury i przeprowadziła przez cały proces budowy oraz elektronizacji wszystkiego, co się zdigitalizować dało. Kto wie, co to za robota, temu objaśnienia nie są potrzebne. Kiedy porównuję obecną bibliotekę z tą, którą zapamiętałem z dawnych lat, to nie mam wrażenia ciągłości: wyglądają, jakby nie miały ze sobą nic wspólnego.

Żeby to osiągnąć, konieczna była niebywała energia, wiedza (jest sporo publikacji Sokołowskiej-Gogut) oraz ponadprzeciętna kontaktowość. Rzeczywiście z innymi dogadywała się łatwo, co było bezcenne dla realizacji tych wszystkich przedsięwzięć, również zresztą przy zakładaniu Fundacji Biblioteki, no i w końcu dlatego krajowe Konsorcjum Bibliotek Ekonomicznych wybrało ją na przewodniczącą.

Radziła sobie doskonale, ale przegrała zmagania z chorobą. Zdążyła jednak zostawić po sobie imponujący ślad.

Są w tej książce poza tym wspomnienia o innych osobach, ale nie potrafię nic do nich dopowiedzieć. Są jak nagrobki na autentycznym cmentarzu, które otaczają inne groby – rozpoznawalne. Nie dla każdego te same. Dalej zaś, tam, gdzie mogłaby przebiegać symboliczna cmentarna alejka, nie ma w tym momencie nic: są puste miejsca. Czekają.

